

**Prolog**

*Uderzenie drewnianego miecza. Zawsze tak się to zaczynało.*

*Przeciwnikiem – jego własny brat. Bliźniak, taki podobny, że wydawało mu się, że walczył z własnym odbiciem. Może tylko głos był nieco inny, gdy walczyli w ogrodzie pogrążonego w mroku zamku – dyszeli ciężko, choć inaczej. Bronie trzymane w jednakowym ciemnoniebieskim płomieniu magii były jedynym źródłem światła.*

*Jego oponent próżny jednak nie był. Uderzył jeden raz, drugi. Stukot drewna o drewno rozlegał się wśród korytarzy rodowej siedziby. Nie martwił się tym jednak. Jego brat nie przebił się przez obronę ani razu, choć walczyli tak długo, że równie dobrze mogłyby to być wieki. Nie czuł się w sumie zmęczony czy też obolały.*

*Ale wtedy...*

*Nie tyle “poczuł to”, co nagle jego przednie kopyto wykręcono. Szpony gryfa zaciśnięte w żelaznym uścisku sprawiły, że stracił równowagę. Odwrócił się, by spojrzeć na niego, lecz ujrzał tylko pazur wyrastający z mroku i ledwie widzialne kształty sylwetki.*

*Wierzgał, wrzeszczał, tarzał się po posadzce, próbując go powstrzymać, ale ten ciągnął go przez ciemne korytarze aż do wrót, które otworzyły się, ujawniając za sobą tylko ciemność oraz straszliwy wiatr, wyjący potępieńczo. Wrzeszczał, wrzeszczał…*

Wstał nagle z ziemi, dysząc ciężko. Serce nie chciało się uspokoić i łopotało straszliwie. Próbował wziąć porządny wdech, ale omal się nie zakrztusił i zaczął paskudnie kasłać. Przewrócił się z powrotem na ziemię, próbując się uspokoić. Wreszcie jego własne ciało przestało wrzeszczeć, a miast tego uszy wypełnił mu tylko dźwięk deszczu. Woda spływała po drzewach, liściach, krzewach i wreszcie jego własnym ciele. Powoli wreszcie wstał, podpierając się o drzewo, które miało mu służyć za ochronę przed ulewą.

Spojrzał na zachód, w kierunku traktu, którym przemierzał. Światło słońca zaczynało powoli wychodzić zza chmur i ścieżka ponownie była widoczna między drzewami lasu.

Zebrał swój tobołek z ziemi i powoli ruszył naprzód, samotnie.

Możliwe, że zrobił błąd. Nie miał jednak możliwości nawet o tym pomyśleć, gdy bełt wystrzelony z gęstwiny nagle trafił ciągnącego wóz poddanego. Pozostała przerażona trójka nie miała nawet czasu za specjalnie zareagować, gdy grupa oczekujących zbójców zewsząd się na nich rzuciła. I on dosięgnął miecza i walczył wraz z resztą ligurskiej karawany. Starcie jednak nie trwało długo. W pewnym momencie poczuł, jak grunt ucieka mu spod nóg po tym, jak jak został pchnięty magią jednorożca, a potem oberwał toporem w pośpiesznie założony hełm. Uderzenie nie było dosyć silnie i wymierzone celnie, by go zabić, ale wystarczyło, by stracił koordynację i siłę w kończynach. Uderzenie głową o ścianę wozu ledwo poczuł.

Stracił zarówno czucie, jak i wzrok. Nie wiedział, co się dzieje. Był przerażony – nie wiedział, ile czasu upłynęło, nim znowu zaczął widzieć kształty, a właściwie dziwne cienie na tle bieli, które wydawało mu się, że są kucykami. Dopiero po kolejnych kilku sekundach był w stanie zobaczyć nachyloną nad nim osobistość.

– *Buongiorno*. Nadal nie wierzę, że Liguria wybrała akurat ciebie – mruknął jednorożec w kapturze. Jego głos wydawał się dziwnie zniekształcony – Żałosne.

Otwierał i ciągle zamykał oczy, próbując myśleć trzeźwo. Ten język, ten akcent…

– Ty… – próbował wydusić.

– Ojej, ojej – usłyszał. – Spokojnie, odpocznij, *amico*. W międzyczasie posprzątamy.

Zamknął ponownie oczy i zacisnął zęby z bezsilności. Słyszał już ponownie dźwięki – nie tylko jednak kończącej się już mżawki, ale przede wszystkim umierających i dobijanych członków karawany. W końcu pozostał już tylko dźwięk kropel uderzających o liście. Otworzył oczy ponownie, by ujrzeć swojego oprawcę.

Ciemno-czerwony jednorożec siedział przed nim, podpierając się o koło wozu. Nosił płaszcz, który zakrywał większość szczegółów jego ubioru i wyglądu – ale mimo to dostrzegł elementy kamizelki kolczej oraz sztylet u pasa. Nieznajomy szczerzył się, pokazując mu swoje zęby w szyderczym uśmiechu.

– Jak ci się podoba? – zapytał się.

Próbował się poruszyć, ale nie był w stanie, dalej mu się kręciło w głowie. Jego broń leżała kilka solenów[[1]](#footnote-1) dalej. Rozejrzał się delikatnie, próbując nie syczeć od migreny, tylko po to, by ujrzeć ciała jego towarzyszy.

– *Vaffanculo!*Zapłacicie za to – w końcu wydusił.

– Wątpię, *amico* – odpowiedział, wzruszając kopytami. – Zastanawia mnie co innego. Powiedz mi, jak to możliwe, że tak bogate miasto jak Liguria nie była w stanie dać wam porządnej eskorty. Czy może okrętu? Nie bezpieczniej morzem?

Podejrzewał to, od kiedy tylko usłyszał jego głos. Mówił do niego po fralsku. Ale ten akcent. Ten akcent...

– Tak zdeterminowani byliście? Żeby napaść na mnie, zanim nadejdzie turniej, by pozbawić mnie szansy zwycięstwa? – wydyszał. – Kto was zatrudnił? Altina, na pewno Altina.

Jednorożec się zaśmiał.

– Oh, nie. Nikogo Najjaśniejsza Republika Altiny nie zatrudniła. Ja jestem jej oficjalnym reprezentantem.

– Zaraz…

Jego oprawca się teatralnie pokłonił, zdejmując jednocześnie kaptur.

– *Il signore* Venia, do usług – przywitał się. – Miałem być twoim oponentem. A ty jesteś baron Luco reprezentujący Republikę Ligurii. Jest to również dzień, w którym zginiesz i Altina wygra, nim turniej się jeszcze zacznie.

Luco zacisnął zęby. Spojrzał w kierunku swojej broni, małego, ale solidnego toporka leżącego kilka solenów dalej. Zastanawiał się, czy gdyby użył magii odpowiednio szybko, udałoby mu się go przyciągnąć lewitacją i rąbnąć nim Venię w mordę. Miał jednak olbrzymie wątpliwości, czy byłby wystarczająco szybki, a pozostali zakapiorzy z Altiny byli tuż obok.

Baron Venia podniósł się z powrotem na cztery kopyta i spojrzał w górę ku koronom drzew.

– Świadków nie ma. Nawet ptaków Kairosa, z tego, co widzę – powiedział powoli, sięgając po sztylet. – *Arrivederci, amico*.

Wtedy właśnie rozległ się odgłos dzwonka, głośny i szczególnie irytujący – natychmiast zwracający uwagę wszystkich zakapiorów. Baron Venia też się odwrócił.

– *Cazzo!* – syknął. – Co jest?

Bandyci odwrócili się, jeden z nich sięgnął do kuszy, a kilku pozostałych po broń białą – wszyscy spojrzeli w kierunku traktu, gdzie kilkanaście solenów przed nimi stał nieznajomy im kucyk.

Baron Luco nie mógł się dobrze przyjrzeć ze swojej pozycji, bał się też, że Venia zabije go, gdy tylko zauważy, jak się rusza. Z miejsca, gdzie siedział, zauważył jednak sylwetkę powoli zbliżającego się jednorożca. Dzwonek trzymany był w ciemnoniebieskim polu lewitacji – uderzał nim głośno, jakby chciał wypłoszyć z lasu wszelkie stworzenia. Jego ubiór był dziwny – wyglądało to, jakby był zawinięty w szmaty, które jeszcze musiały zmoknąć w niedawnym deszczu. Wydawało mu się, że jego wzrok go oszukiwał, bo jego twarz wydawała się nienaturalna, płaska i kompletnie nieruchoma – dopóki nie zrozumiał, że to nie jest wcale twarz, lecz maska. Wraz z nią i jego ubiorem, żaden fragment ciała poza wystającym rogiem nie był widoczny.

– To tylko żebrak – powiedział jeden z bandziorów z gotowym toporem – Zaraz mu urwę ryj.

– Bez świadków, *amico* – zachęcił go baron Venia, który sam jednak postąpił o krok do tyłu, jakby obawiał się czegoś. Uśmiech też zniknął mu z ust.

Nieznajomy się zatrzymał i puścił dzwoneczek, widząc zbliżającego się zakapiora z wyciągniętą bronią. Jego róg zgasł… po czym zapalił się natychmiast z powrotem, coś błysnęło i z gardła bandyty wystrzeliła struga krwi. Jeszcze ciało bandziora nie opadło na ziemię w kałuży krwi, a przybysz już ruszył do przodu z gotowym wielkim mieczem.

– To upiór! – wrzasnął ze strachu drugi z najemników, próbując uchylić się przed trzymanym w ciemnoniebieskim polu lewitacji ostrzem, ale nie zdołał – potężne cięcie na odległość wyrwało mu straszną ranę w prawym kopycie – gdyby dzierżyciel broni uderzył celniej i mocniej, oderwałby ją w całości.

Kusznik wykorzystał moment przerwy i wystrzelił – ale w pośpiechu brakowało mu celności. Bełt, zamiast trafić napastnika w pierś, uderzył go w bok kopyta i nie utknął w ciele. Ten, ku przerażeniu strzelca, wydawał się nawet nie zauważyć, że został ranny – nie stracił też koncentracji w swojej magii. Sekundę później ostrze zakręciło w powietrzu i zdekapitowało kusznika, którego głowa potoczyła się po trawie.

– *Merda!* – syknął Venia, odwracając się i szukając oczyma towarzyszy, którzy albo się cofali, albo już uciekali w las. Jeszcze trochę i zostałby tu sam. – *Figli di puttana*!

Odwrócił się jeszcze raz, szukając oczyma Luco, by go zabić przed zmyciem się stąd, ale ten zdołał się niezauważenie odczołgać poza jego zasięg. W międzyczasie nieznajomy włóczęga mordował zbyt wolnych bandziorów bez litości. Przeklął jeszcze raz po fralsku i również uciekł w las, dołączając do swoich towarzyszy.

Po chwili ponownie nastała cisza, przerywana tylko od czasu do czasu uderzeniami kropel wody o ziemię. Na drodze leżało już teraz kilkanaście trupów – członków ligurskiej karawany oraz kilku bandytów, którzy do nich dołączyli. Nieznajomy rozejrzał się wokół, jego wyraz twarzy skryty za maską.

– Pomocy – wydyszał baron Luco, dalej czołgający się w jego kierunku. – *Merda…*

Nie mógł dalej, zatrzymał się. Teraz, gdy zaczął się poruszać, strasznie bolały go wnętrzności, jakby coś złamał w środku. Zaparł się, by obrócić się na bok i po chwili mu się to udało, ale to był już koniec jego możliwości – świadomość mu umknęła i znów przed oczyma miał tylko ciemność.

****

Gdy się obudził, poczuł, że nie leży już na trakcie, ale gęstej trawie. Wszystko go bolało, ale z jakiegoś powodu wydawał się bardziej pewny. Gdy nie czuł własnego ciała, budziło to przerażenie, jakby jego kończyny nie istniały, jakby w ogóle nie istniał i gdzieś zniknął – albo jakby już zmierzał na Słoneczne Łąki. Bolało – znaczy, że żył.

Jeszcze nie otworzył oczu, zamiast tego próbował poruszyć kopytem. To mu się udało bez problemu. Następnie, sięgnął nim, by dotknąć się po boku głowy, który palił go bólem i uwierał.

– *Nie dotykaj* – usłyszał nagle cichy, zgryźliwy głos. Nieznajomy mówił do niego po equestriańsku.

Luco ciężko westchnął i w końcu otworzył oczy, by się rozejrzeć. Był dzień, nawet jeśli słońce kryło się gdzieś za wielką warstwą szarych chmur. Znajdowali się na polanie, już z dala od lasu. Delikatnie obrócił głowę i zobaczył kilkadziesiąt kopyt słonecznych dalej jakąś zapadłą wieś – dachy domostw wyglądały na zaniedbane. Choć Luco nie znał generalnie dobrze Equestrii, wiedział, że w momencie ataku znajdowali się na terytorium księstwa Cahlouse, gdzieś blisko granicy z arcyksięstwem Unicornii. Opowieści, jakie usłyszał w rodzinnej Liguriii na temat tej krainy, nie kłamały.

W oddali patrzyło na nich kilku wieśniaków, wskazując ich kopytami. W tym czasie poczuł, jak bandaże na jego mordzie zaciskają się trochę mocniej. Nieznajomy w masce siedział kilka kopyt dalej i magią ze swojego rogu powoli i ostrożnie go opatrywał.

– Chciałem, by ci dali wygodne łóżko – powiedział nieznajomy. – Ale nie chcą. Boją się, że jesteś chory. Nie chcieli cię też przyjąć do wioski.

Dopiero teraz Luco zauważył pewną osobę stojącą niecierpliwie za jednorożcem w masce. Był to na pewno też wieśniak, ale wyglądał na dużo starszego. Trzymał się on w odległości od ich obojga, patrząc na nich ewidentnie wzburzony.

– Oczywiście, że nie chcemy! – powiedział starosta. – My cię poimy i żywimy, a ty jeszcze przyłazisz mi z jeszcze jedną gębą do wyżywienia! Dodatkowo go podotykałeś, więc pewnie też skażony!

– Ten kucyk to szlachetny pan – odparł ze spokojem nieznajomy w masce – Winniście go traktować jak swego seniora. I nie jest chory.

Wieśniak machnął kopytem zrezygnowany.

– To jakaś fralska przybłęda, nie pan – mruknął pod nosem.

– Umiem po equestriańsku… – wydyszał obrażony baron. – Ty… ARGH!

– Wybacz, musi boleć – powiedział jednorożec, który przycisnął nasączony alkoholem opatrunek. – Thadd, macie jeszcze trochę szmat? Dowolnych?

– Nie, piórwa mać, więcej nie dam – odparł wzburzony starszy wioski. – Co tu teraz wrzucę, trzeba będzie spalić, nie będziemy marnotrawić ubrań! Nie przekraczajcie tej o tu granicy wyznaczonej kamieniami, bo was widłami przegonimy.

– Nie jest chory – powtórzył kucyk w masce. Thadd to kompletnie zignorował, odwrócił się plecami i ruszył z powrotem w kierunku wioski, na co dobroczyńca Luco tylko ciężko westchnął.

– To dobry kucyk – powiedział rannemu. – Po prostu… cóż… boi się.

Luco miał się spytać, czemu niby, ale dopiero teraz poważnie przyjrzał się swojemu dobroczyńcy. Musiał być konkretny powód, dla którego ten equestriański jednorożec zakrywał dokładnie całe ciało. Fralski baron odzyskiwał też pozostałe zmysły i smród potwornej zgnilizny dotarł do jego nozdrzy, mimo że nieznajomy specjalnie siedział z dala od niego i opatrywał go magią lewitacji z odległości. Aż zrobiło mu się niedobrze, ale nie miał czym zwymiotować.

– Musisz mi wybaczyć mój stan – powiedział nieznajomy. Jego ponury głos brzmiał bardzo sztucznie zza maski. – Nie dotykałem cię. Przetoczyłem twoje cielsko na oderwaną część wozu i ciągnąłem cię po ziemi magią.

– Dziękuję, ale… co z pozostałymi? – zapytał powoli.

– Z resztą twoich towarzyszy?

Baron przytaknął. Zza maski fralski szlachcic nie mógł zobaczyć jego reakcji z twarzy, ale ten ewidentnie zawiesił głowę w smutku.

– Przykro mi, ale poza tobą nikt nie przeżył – odparł. – Zdołali też zabrać większą część dobytku. Nie mogłem też ich ścigać. Ledwo mogę biegać i byłem już bardzo zmęczony.

Fralski szlachcic zamknął oczy. *Merde…* jego giermek, jego wierni towarzysze, reprezentacja Ligurii na turnieju, wszyscy leżeli martwi. Był więcej niż przygnębiony – chociaż ostatecznie jego rywal go nie zabił, to swoje zadanie wykonał.

– Mimo, że byłeś bardzo zmęczony… ocaliłeś mi życie. Jestem ci za to dozgonnie wdzięczny – powiedział powoli Luco. – Zabiłeś wielu z nich, doświadczonych wojowników. Władasz mieczem lepiej niż niejeden rycerz.

Przez pewien czas nieznajomy milczał.

– To nie to – odparł.

– Co masz niby na myśli?

– Bardzo się bali. Wszyscy się mnie boją. Gdy widzę kucyki, ostrzegam ich dzwonkiem, tak stanowi prawo tych ziem. Te kucyki były z Fralii, prawda?

Baron przytaknął. Nieznajomy westchnął ciężko.

– Nie rozpoznali dzwonka. Ich przywódca chyba tylko coś przeczuwał, bo widziałem, że choć jeden z bandytów się na mnie rzucił, to on się wyraźnie cofał. Mogli mnie zabić, gdyby byli zdecydowani, ale bali się mnie. Strach w takiej walce to straszny morderca.

Lugo ostrożnie się podniósł i usiadł, pomimo odgłosu protestu ze strony dobroczyńcy. Kręciło mu się nadal w głowie i wciąż czuł ból dochodzący go z piersi. W trakcie walki pamiętał, że został pchnięty magią na wóz i uderzając w niego, musiał coś uszkodzić wewnątrz swojego ciała, ale nie był pewien, co. Syknął z bólu, ale poza tym był zadowolony, że wreszcie udało mu się podnieść z ziemi choć część ciała.

Było to oczywiste, ale fralski szlachcic czuł potrzebę upewnienia się.

– Jesteś trędowatym? – zapytał.

– Owszem.

Zapanowała niezręczna cisza. Tylko wiatr w oddali przeczesywał korony drzew. Ptaki, które powinny być obecne w tej porze roku, były kompletnie nieobecne.

– Przykro mi – powiedział cicho baron.

– Niepotrzebnie – odparł mu equestriański jednorożec – Lepra jest karą za grzechy, za które będę pokutował, aż moje ciało się podda.

Luco czuł się nieswojo w towarzystwie nieznajomego nawet nie dlatego, że był chory – w końcu ostrożnie siedział z dala od niego – ale dlatego, że nie mógł go odczytać. Maska kryła jego wyraz twarzy, a głos, który wydobywał się z jego gardła, był niski i zniekształcony. Zastanawiał się, czy to, co powiedział mu jego dobroczyńca, było szczerym wyznaniem, czy jakimś zaawansowanym sarkazmem.

– Ci wieśniacy też się ciebie boją zauważył. – Ale też chyba cię wspierają?

Trędowaty przytaknął.

– Włóczę się z wsi do wsi i wykonuję drobne pomoce. – powiedział. – Moje ciało gnije i umiera, ale róg wciąż mi dobrze służy. Czasem zabiję jakąś dziką bestię na trakcie, jeśli jest uciążliwa dla wieśniaków. W zimę kościół Harmonii pozwala mi spać w jednej z cel. Ale wystarczy o mnie. Kim ty jesteś, poza tym, że poznaję, iż jesteś szlachetnej krwi?

– Jestem lord Luco i władam baronią Sarisolla, wchodzącą w skład Ligurii – odparł. – Mój ród nie jest nawet bliski potęgi, ale Rada Ligurii wybrała mnie, bym reprezentował republikę na turnieju w Everfree. Ci, którzy mnie zaatakowali, nie byli bandytami. To była reprezentacja Najjaśniejszej Republiki Altiny, naszego największego rywala.

– W sensie przeciwnicy z turnieju? – zapytał zdziwiony trędowaty. – Tak zdesperowani?

– Może. Stawka jest bardzo wielka. Ale… to dosyć skomplikowane.

Trędowaty niezręcznie milczał. Po kilku sekundach zastanowienia baron zaczął opowiadać.

– Liguria i Altina są historycznymi rywalami od kilku wieków – zaczął. – Fralia to kraina wielkich miast i potężnej kupiecko-szlacheckiej arystokracji, rządzącej nimi. Wiele lat temu, miasta te toczyły liczne, brutalne wojny na lądzie i na morzu, ale wszystko się zakończyło, gdy z Equestrii wkroczyła w triumfie i chwale Ta, Która Lśni – Celestia. Nie było nawet podboju, wszyscy się poddaliśmy jej woli, ale rywalizacja została. Zakazała nam toczyć wojny, mordować się wzajemnie i sabotować się nawzajem – kazała miast tego rozwiązywać swoje spory tak, “by ni jedna kropla krwi i ni jedno życie zostało odebrane”. A sporów była masa. Monopole handlowe, prawa taryfowe, uznania walut. Gdy przez kilkadziesiąt lat nie byliśmy w stanie tych spraw załatwić polubownie, kazała, by reprezentant Ligurii i Altiny zjawił się na corocznym turnieju w Everfree. Wybraniec tego miasta, który zaszedłby w turnieju dalej, wygrałby dla swojego miasta zwycięstwo w tych sporach.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – powiedział trędowaty.

– Jest to możliwe, bo niewielu już o tym pamięta – kontynuował fralski rycerz. – To nie jest też pierwszy turniej, gdy to się dzieje. Było już takich osiem. Za każdym razem był remis, jakby jakieś przeklęte fatum nad tym ciążyło. Ale tym razem Altina, już zdesperowana, liczy, że wygra turniej przez sprawienie, że reprezentant Ligurii nigdy nie dotrze na turniej…

Trędowaty przytaknął ze zrozumieniem. W rzeczywistości Luco opowiedział tylko część tej historii. Darował mu też pewne szczegóły o tym, że w poprzednim roku to Liguria próbowała zabić przedstawiciela Altiny przez podmianę załogi latarni morskiej i próbę rozbicia altińskiego okrętu z reprezentacją o skały.

Władztwo Celestii przyniósł kres wojen, ale nie kres zła i okrucieństwa w samych kucykach. Baron Luco westchnął ciężko.

– W każdym razie… tym razem Altina chyba dopięła swego. Czuję się bardzo słabo. – dotknął się po twarzy, sycząc z bólu. – Cholera. Już zabandażowałeś – jak źle to wyglądało?

– Bardzo – odparł jego dobroczyńca. – Hełm ocalił ci życie. Rana nie była głęboka, ale wygląda dosyć paskudnie. Nie jestem lekarzem ni znachorem, więcej powiedzieć nie mogę.

– Czuję też, że coś w piersi jest nie w porządku. *Merde…*

Trędowaty milczał. Reprezentant Ligurii oddychał ciężko, zastanawiając się przygnębiony, co teraz. Nie miał szans wygrać nawet pierwszego pojedynku. W tej sytuacji wystarczyło, że jego rywal, baron Venia, wygra chociaż pierwszy pojedynek i Altina zwycięży w swym sporze. Wiedział też, że tłumaczenie, że został napadnięty, na nic się nie sprawi. Po pierwsze, nikt mu nie uwierzy, że to sam Venio zorganizował atak – byłoby to słowo przeciwko słowu. Po drugie, sam zostanie zaatakowany, jak to możliwe, że jego delegacja została z taką łatwością wybita, a on sam okaleczony. Spadłaby na niego tylko hańba za to. Normalnie mógłby go zastąpić giermek, ale on leżał martwy na trakcie – wraz z resztą jego towarzyszy.

Miał tylko jeden pomysł, tak abstrakcyjny, że sam nie mógł się przekonać do niego. Miał pewne domysły na temat swojego dobroczyńcy i kim był, nim tknęła go choroba. W końcu, nie widząc innego wyjścia, zwrócił się ponownie w kierunku trędowatego.

– Widziałem że świetnie władasz mieczem. Powiedz mi, czy mógłbyś mnie zastąpić?

Trędowaty nieznacznie obrócił twarz w jego kierunku, ale nie odpowiedział. Luco zgadywał, że powodem było niespodziewanie się takiego pytania.

– Muszę dobrze władać lewitacją i używać głowy, nie czuję się w żaden sposób pewnie – kontynuował. – Boję się nawet teraz sprawdzić, czy dalej jestem w stanie przywołać magię, wciąż kręci mi się w głowie. Arbiter mógłby też uznać, że się nie nadaję do walki. Mój przyjaciel i giermek Avestillo leży martwy na trakcie, normalnie on byłby moim zastępcą. Już jestem ci wielce wdzięczny, ale obowiązek wobec mojego miasta zmusza mnie, by cię jeszcze błagać o to. Czy mógłbyś zostać moim giermkiem, byś mnie zastąpił w walce na turnieju?

Nieznajomy dalej milczał.

– Nawet… nawet jeśli jestem tak chory? Niedotykalny? – zapytał z wątpliwościami. – Nie mogę biegać, szybko się męczę, jedno kopyto niemalże wlokę...

– Nie wiem, czy trąd jest karą za grzechy i nie mnie to oceniać – powiedział Luco. – Ale dla mnie jesteś dobrym kucykiem i to mi wystarczy. Zdaję sobie sprawę też, że już jestem ci dłużny. Niezależnie od tego, czy wygrasz, czy nie, polecę radzie miasta Ligurii, by cię opłaciła i sam się dorz…

Trędowaty podniósł nagle kopyto, przerywając mu. Opuścił głowę.

– Umieram, Luco – powiedział cicho. – Nie oczekuję przeżyć pięciu wiosen, choć powinienem być w sile wieku. Nie mogę też spłodzić syna czy córki, co by to odziedziczyli moje bogactwa w postaci łachman, maski i jednego miecza. Doceniam twoją szczodrość, ale na nic mi to.

Luco spuścił głowę, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie obraził swojego dobroczyńcę. Już się szykował, by go przeprosić za to, ale wtedy usłyszał zza maski coś, co przypominało mocno stłumiony ponury śmiech.

– Akceptuję twoją ofertę, ponieważ i tak nie mam co robić. Mogę i ci pomóc, bo mi nic nie pomoże – dodał trędowaty. – Ty też się zdajesz być dobrym kucykiem, żeś jeszcze nie uciekł przede mną.

– Mam słaby węch – zażartował baron, uśmiechając się, gdy nagle coś zauważył. – Ehm… widzę jeden problem. Możesz spojrzeć na bok swojego prawego przedniego kopyta?

Nieznajomy podniósł delikatnie swoje zakryte łachmanami kopyto i uważnie mu się przyjrzał. Krople krwi i ohydnej ropy kapały mu z ubrania.

– Ohh… – mruknął zdziwiony trędowaty.

– Jeden z tych altińskich bandziorów strzelił do ciebie z kuszy – wyjaśnił Luco.

– Nie poczułem – odparł equestriański jednorożec. – Myślałem, że mnie nie trafił.

Przez kolejne kilka minut nieznajomy zajmował się swoją własną raną. Nie wydał ani jednego odgłosu, gdy polał miejsce trafienia alkoholem i w ciszy je zabandażował. Gdy skończył, odwrócił się z powrotem w kierunku fralskiego barona.

– Możesz chodzić? – zapytał trędowaty.

– Wydaje mi się, że tak – odparł. – Mamy jeszcze trochę czasu przed turniejem. Powinniśmy przybyć do Everfree, stolicy Equestrii, na czas – nawet jeśli nie możemy poruszać się szybko.

Trędowaty cicho przytaknął i podniósł się z ziemi, zbierając swoje rzeczy. Luco ostrożnie również wstał. Mieli już ruszyć razem na północ, gdy nagle mu się coś przypomniało.

– Chwileczkę!

Jego dobroczyńca się zatrzymał.

– Nigdy mi nie powiedziałeś, jak się nazywasz – powiedział Luco.

Nieznajomy milczał przez kilka sekund.

– Nie jest to ważne, szczególnie odkąd jestem chory – odparł w końcu. – Ale jeśli potrzebujesz mojego imienia, możesz zwać mnie Lazar.

1. Kopyto słoneczne, kopyto solarne czy też po prostu solen – equestriańska jednostka miary sprzed wprowadzenia systemu metrycznego. Odpowiada mniej więcej jednemu metrowi, osiemnaście centrymetrów. [↑](#footnote-ref-1)